



Czy bioetyka jest nauką? Czy jest w ogóle czego nauczać?

Marek Olejniczak

Odpowiedź na tytułowe pytania jest, oczywiście, pozytywna i nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, że bioetyka jest nauką i zdecydowanie jest czego nauczać, zwłaszcza studentów uczelni medycznych. Do umieszczenia jednak takiego kontrowersyjnego pytania w tytule mojej wypowiedzi skłoniły mnie polemiczne wypowiedzi Kazimierza Szewczyka, a zwłaszcza Anny Szczęsnej. Obie wypowiedzi bowiem w istotny sposób podważają naukowy charakter bioetyki lub wręcz mu zaprzeczają, jak to ma miejsce w przypadku wypowiedzi A. Szczęsnej. Trudno się jednak z takimi wnioskami zgodzić, stąd powyższy tytuł i odpowiedź na obie wypowiedzi.

Bioetyka jest refleksją etyczną na temat ingerencji w przebieg biologicznego życia człowieka. Można więc bezpiecznie przyjąć, że jest nauką w takim samym stopniu, w jakim jest nią etyka – z wszystkimi trudnościami i wątpliwościami z nią związanymi. A jednak pojawiła się właśnie tutaj wątpliwość. Anna Szczęsna zwraca uwagę na problem poznawalności prawdy i uzyskania wspólnej na nią zgody, zwłaszcza jeśli chodzi o prawdę o tym, co dobre. W związku z tym stwierdza, że lepsze „jest ujęcie bioetyki nie jako dziedziny, w której chodzi o prawdę – a więc nie nauki – ale jako pewnego teoretyczno-praktycznego projektu urządzenia świata medycyny czy (jak pewnie wolałby K. Szewczyk) systemu opieki zdrowotnej”. Na takie rozwiązanie można jedynie odpowiedzieć, że każdy ma prawo uprawiać taką dyscyplinę, jaką mu się podoba, choćby i nie była ona nauką. Gdyby uznać, że bioetyka rzeczywiście nie jest nauką, lecz jedynie „teoretyczno-praktycznym projektem urządzenia świata medycyny”, to rzeczywiście moje wątpliwości z poprzedniej wypowiedzi chybiałyby zasadniczo celu. Ale uwaga: jeżeli bioetyka nie

jest nauką, lecz tylko „teoretyczno-praktycznym projektem urządzenia świata medycyny”, to nie powinna być wykładana (jako nauka) studentom, ani tym bardziej nie powinno się w jej obrębie przyznawać jakichkolwiek stopni naukowych. Urządzanie świata być może jest przedsięwzięciem interesującym, ale też bardzo poważnym i odpowiedzialnym, wymagającym ogromnej rozwagi i pokory. Dlatego wydaje mi się, że jeżeli nie będziemy wówczas choćby próbować szukać prawdy o dobru, nie uda się urządzić świata dobrze. Który zresztą parlamentarzysta będzie chciał słuchać uwag bioetyka, który głosi, że nie jest naukowcem, a jedynie ma „projekt urządzenia świata medycyny”?

W innym miejscu A. Szczęsna stwierdza, że „potraktowanie bioetyki jako nauki (czy może raczej – teoretycznej refleksji) wielodyscyplinarnej oznacza równorzędność czy względną równorzędność wkładu, który do tej dziedziny wnoszą: medycyna, psychologia, nauki społeczne (jak na przykład socjologia medycyny) i etyka filozoficzna. Filozof nie [ma] tu ostatniego słowa, które ma, gdy bioetykę ujmuje się jako część filozofii”. Otóż to w ogóle jest najmniej ważne, czy się ma ostatnie słowo, czy nie. Jeżeli filozof chce być „ważny” i mieć „ostatnie słowo”, angażuje się w działalność społeczną albo wprost polityczną. Jako filozof mówi on po prostu to, co uważa za słuszne. Filozofia nie ma ambicji „naprawiania” świata, a jedynie pomaga w jego lepszym rozumieniu. Dlatego refleksja filozoficzna na temat ingerencji w przebieg biologicznego życia człowieka będzie zawsze bardziej zdystansowana od refleksji praktycznej, nastawionej na zmienianie świata.

Jeżeli z kolei chodzi o uwagi Kazimierza Szewczyka, to z niektórymi z nich zgadzam się w zupełności, część z nich zaś jest konsekwencją nieporozumień językowych. Np. kwestia, dlaczego bioetyka miałaby zajmować się podejmowaniem decyzji, a nie czynami. Jak pisze K. Szewczyk, „decyzja zawsze poprzedza czyn, nie zawsze jednak musi prowadzić do jego podjęcia”. Gdyby przyjąć, że czyn jest działaniem świadomym i wolnym, to oczywiście, również sama decyzja jest już czynem (wewnętrznym), choć niekoniecznie spełniającym się w jakimś zewnętrznym działaniu. Jeżeli zaś przyjąć, że czyny mogą mieć wyłącznie charakter zewnętrznego działania, to można się zgodzić, że głównym przedmiotem bioetyki są właśnie „decyzje”. Nie ma tu więc istotnej wątpliwości, a jedynie odmienne użycie słów.

Nie jest jednak tylko nieporozumieniem to, że K. Szewczyk pisze: „nie widzę związku zasygnalizowanego przez Autora między kontemplacyjną naturą etyki, a brakiem „powodu do rozpacz” ewentualnością zawłaszczenia bioetyki w Polsce „przez medyków i Kościół”. Czyżby byli oni w posiadaniu tej prawdy o dobru? I tylko niewiele czasu przeznaczzonego na perswazyjną argumentację dzieli nas od powszechnej społecznej akceptacji tej prawdy. Byłby to jednak stan niwelujący demokrację”. Otóż ja nigdzie nie kwestionowałem wartości demokracji ani nie podważałem wartości pluralizmu światopoglądowego. Na szczęście ludzie są wolni i mogą myśleć po swojemu. Również nie sugerowałem, że to właśnie „medycy i Kościół” są posiadaczami tej jedynie słusznej prawdy o dobru. Chodziło mi jedynie o to – co wyraźnie zresztą napisałem – że cała siła perswazyjna etyki polega na sile jej argumentów. Filozofia bowiem nie ma na celu zmieniać świat, lecz co najwyżej pomagać w jego lepszym rozumieniu. Jeżeli bioetyka proponowana przez K. Szewczyka miałaby się okazać skuteczniejszym „projektem filozoficznym” niż bioetyka uprawiana w nurcie chrześcijańskim, to jego siła argumentów zapewne zwycięży. Problem w tym, że aby chcieć tu „zwyciężyć” i po swojemu urządzać świat, trzeba by mieć pewność co do tego, jak się *naprawdę* rzeczy mają.

I tu pojawia się prawdziwy problem, bo właśnie o prawdę w bioetyce, wg K. Szewczyka, nie chodzi (*sic!*). Jak pisze: „Zadaniem bioetyki nie jest odkrywanie «prawdy o dobru», jeśli nawet taka istnieje obiektywnie. Jej cel jest skromniejszy i zarazem bardziej realny. Jako tzw. bioetyka regulatywna (regulacyjna) ustala w demokratycznym procesie decyzyjnym zasady o charakterze dyrektyw etycznych, czyli wspomnianych «zamrożonych rezultatów procesów decyzyjnych». (...) Ostateczną instancją etyczną jest całość społeczeństwa, bo któż inny w ustrojach demokratycznych może nim być? Czyja prawda o dobru, jeśli taka jest, ma być powszechnie zaakceptowana?” Wróćmy w tym momencie do tytułowego pytania niniejszej wypowiedzi i zapytajmy, jaka to jest nauka, która przez głosowanie w parlamencie (demokratyczny proces decyzyjny) „przyklepuje”, czy jakiś czyn budzący wątpliwości o charakterze bioetycznym jest dobry czy zły? Gdyby społeczeństwo miało być „ostateczną instancją etyczną”, owym „suwerenem

moralnym”, wtedy „lobbing bioetyczny” rzeczywiście miałby sens, bo byłaby to jedyna droga, aby przeforsować własne racje. Ale to nie jest żadna nauka, tylko...

Jasną jest rzeczą, że konieczne są pewne uregulowania prawne w dziedzinie medycyny, zwłaszcza w kwestiach, które budzą poważne wątpliwości bioetyczne, dlatego cieszyć się należy z inicjatywy pisania przez polskich parlamentarzystów ustawy bioetycznej. I nie ma tutaj innej drogi jak parlament i walka polityczna, a to dlatego właśnie, że żyjemy w kraju demokratycznym, w którym zwykle szanuje się, a przynajmniej powinno się szanować światopoglądowy pluralizm. Nie znaczy to jednak, że należy odbierać bioetyce jej tożsamość filozoficzną (bycie etyką) i skazywać ją na ustalanie zasad etycznych na drodze głosowania parlamentarnego czy jakiegokolwiek innego.

Kończąc chciałbym – mimo wszystko – wyrazić zaniepokojenie (a może nawet smutek?) akceptacją relatywizmu moralnego, który K. Szewczyk oraz A. Szczęsna zdają się wprost głosić rezygnując z poszukiwania prawdy. Co miałyby być w takim ujęciu przedmiotem „edukacji bioetycznej”? Kogo i *dlaczego* powinno się tego „czegoś” uczyć? Czy pomimo trudności i zniechęcenia nie powinno się jednak choćby próbować rozpoznać właściwy „porządek aksjologiczny”?